

Autorka zatroszczyła się o życiową i psychologiczną wiarygodność każdego szczegółu. Takim szczegółem jest tytułowy „Pies”, który ma bez wątpienia ścisły związek ze znaną maksymą: „Chcesz poznać siebie i innych, poznaj najpierw zwierzęta”. Tytułowy bohater „nigdy nie miał psa. W czasach dzieciństwa zazdrościł innym dzieciom, które przychodziły latem do Ogrodów ze swoimi psami”.

Wraz z pojawieniem się zwierzęcia (ujawniła się energia biologicznej formy o zniewalającym kształcie) „skacząca na boki lub tuląca się czule i liżąca ręce czy nogi”. Tym niemniej stworzyli oni nierozłączną parę – zachwyceni tym, że mają w sobie jakąś „wielką radość”, która przypomina szaleństwo. Czy zatem opowieść o „Żebraku i Psie” nie nawiązuje do myśli Pascala „oburzającego się na tłumaczenie cierpień dzieci ich „współwina” za grzech popełniony przez kogoś innego jeszcze przed ich narodzeniem”. A przecież Antonio jest swym własnym celem i to celem dla siebie jedynym. Ta opowieść nie buduje sztucznych, literackich zagadek. Osiąga prostotę deklarując przywiązanie do życia – sugeruje spojrzenie na świat otwartymi oczami – próbuje ulżyć ciężkiemu losowi żebraka oczekującego hojnej jałmużny...

Andrzej Gnarowski

Monika Maciejczyk, „Żebrak i Pies”. Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „M-DRUK”, Wągrowiec 2015.

Julia z Krainy Czasu

W świecie, w którym ubywa nas coraz bardziej, w którym wypalamy się coraz mocniej, w którym rozpadamy, znikamy, jesteśmy jakże nieistotni... też można odnaleźć poezję. W świecie, którego wyznacznikiem jest spauperyzowana proza – zaiste – i w nim można powiedzieć coś wykwintnego metaforą. W świecie, wobec którego nasza naturalna nań niezgoda może przejawiać się jedynie dziecięcym naiwnym, banalnym tupaniem również można ocalić piękno oraz ulotność. Tak pomyślałem po lekturze przedziwnego tomu „Tupanie ze sobą po drodze” **Łucji Dudzińskiej**. Głęboko, właściwie, to poczułem. Jego wymiar skrywa się jakby za mgłą fascynującej opowieści, za którą uchyla się kotara dygresyjnego poematu napisanego poetycką, wydawałoby się prozą, a jednocześnie jest to rodzaj pół-prozy silnie splecionej z najszlachetniejszą liryką. Kołowrót wydarzeń, lawina życia, niustanny nasz bieg miesza się w nim z chwilami zatrzymań, z momentami zachwytu, z rzeczami najmniejszymi, które tutaj stają się potęgą. Ten tom wierszy Łucji, jeśli wejdziemy w niego mocno, doszczętnie, potrafi

bardzo zauroczyć. Ma w sobie pewien zastanawiający potencjał świadomości, czy bardziej nawet refleksji nad tym trudnym do zniesienia kontrastem mało poetycznych czasów z ludzką wręcz koniecznością do takiej formy ucieczki z klatki codzienności zamkniętej Czasem.

Łucja swoim tupaniem stawia ważne pytania. Nie każe nam na nie odpowiadać, nie zmusza nas do opowiedzenia się po jakiejś ze stron, nie stawia nas pod ścianą wyboru, a tylko odrzuca nam od niechcenia kamyczki ważnych słów pod nasze umęczone nogi. Uświadamia przejawy współczesnego Pantha rei, wobec którego niejednokrotnie stajemy po różnych stronach tej samej rzeki. A rzeka ta coraz brudniejsza, coraz bardziej zanieczyszczona, wartka, lepka nadmiarem wydarzeń oraz znaczeń, rzeka ta staje się autostradą do piekła, które sami sobie tworzymy w pędzącym na złamanie karku życiu na kołach naszych samochodów, w których jak w błyszczących puszkach wystajemy w porannych korkach jadąc do pracy, albo wracając z pracy, bez czasu dla świata, bez chwili dla ludzi, bez czucia samych siebie... Taki los nam zgotowała współczesność. I jakby nie powiedzieć – uczyniła to koedukacyjnie, solidarnie, zarówno kobietom jak i mężczyznom – po prostu – nam.

Ale to kobiecy świat. Ten świat przedstawiony w tomie Łucji. To kobiecy wymiar patrzenia. Piękny, intelektualny, zawiły, ciepły, czuły, łaknący, poszukujący i niesamowity. Może nazbyt opiekuńczy, nazbyt zakochany, nazbyt sentymentalny... taki z zapalkami z bajek. Z chrabąszczem i biedronką. Z tym promiennym uśmiechem, wobec którego my – mężczyźni – nigdy przecież w swej szorstkości nie pozostaniemy obojętni. I tutaj widzę most łączący nasze żeńskie i męskie światy. Przecież w wymiarze prozaicznym, codziennym, realnym, w wymiarze życia te światy są dziś nie do odróżnienia. W wymiarze naturalnym i intelektualnym. Owszem, różnimy się fizycznością, mentalnością, dążeniami, ale w gruncie rzeczy porywa nas to samo piękno, ta sama miłość, te same tęsknoty i oczekiwania. Splota się to wszystko w jeden wymiar ludzkiego po prostu świata, w którym przyszło nam iść ramię w ramię.

I już nie wiadomo z czyjego żebra Adam stworzył Ewę, a może to było na odwrót. Bóg jest cierpliwy i nie gra przecież w kości. Albert Einstein jednak się nie mylił...

Jest w tym tomie smutek dojrzewania. Zdrowy dystans melancholii. Zauroczenie nieosiągalną dalą i granicami nieskończoności. Słowa wtedy stają się bezdomne, idą po swoich śladach w głąb naszej percepcji jak oślepienie drogowaskazy. Przekraczają barierę intuicji i rozkoszy obcowania z pięknem, które można odnaleźć dosłownie wszędzie. A nade wszystko opisuje Ciebie człowieku jako zagadkę. Największą tajemnicę Wszechświata. Opisuje jako odpowiedź i jako ... szansę.

Nikt nie jest przecież samotną wyspą. Należy się tylko wzajemnie odnaleźć, acz, aby to uczynić, należy pierwej wnikliwie szukać, należy pozwolić sobie na otwartość, na zachwyty, na łaknienia i na zadziwienia – człowiekiem, światem, naturą. To tylko tyle i aż tyle.

I skoro nawet jesteśmy w stanie w tomie Łucji rozgraniczyć prozę od poezji, to nie jest to prozaicznie proste, kotłuje się i miesza jak czas i miłość, bezszelstne stany, jak wiosna i lato, jak ty i ja. Jak Łucja z Krainy Czasu ...

*„ty gonisz mnie ja gonię ciebie
i zsuwamy się z siebie,
jak wskazówki zegara,
jak zsuwa się ze snu zmęczenie (...)*

obawa (tylko obawa) pulsuje w głowie

*topi się w wannie w rzeki strumykach
w koleinach zdań się zamyka
szuka mowy zwierząt i rzeczy
plecie plecie szczęście i leczy
z prawdy o świecie – i uczy
do drzwi pukać szukać
sobie właściwych kluczy*

ja gonię ciebie ty gonisz mnie (...)

Proszę o wybaczenie Autorkę, że w tak frywolny sposób ustawiłem tę wersyfikację cytując jedną z kulminacyjnych scen tomu. Takich „scen kulminacyjnych” jest tam więcej. Musimy je tylko odszukać, choć nie będzie to trudne, jeśli podążymy kluczem tego typu fascynacji, którą starałem się tu przedstawić i uwypuklić.

Łucja Dudzińska mówi bowiem czytelnymi obrazami. Prowadzi pewną narrację życia, pozornie zwyczajnych sytuacji i wydarzeń, aby w pewnym momencie, z zaskoczenia uderzyć w nas poezją i robi to w sposób wręcz bolesny. To jednak ból miły, perwersyjnie oczekiwany, chciany i jakby oczywisty, wynikający z zagęszczenia „akcji” i stanów. To ból oczywisty, a jednak prowadzący nas w nowe światy doświadczenia.

Owa bolesna zwyczajność jest przecież wiodącą cechą naszych czasów, w których nadzwyczajność nadciąga tylko z ekranów, monitorów i przestrzeni sztucznie stworzonej, albo alternatywnie i absolutnie i niekomplementarnie może nadejść tylko z nas samych i z naszego... tak, poszukiwania poezji właśnie. *Tertium non datur* ... jak mawiali uczeni. Tylko czy uczeni zdają się wszystko wiedzieć? Niestety nazbyt wiele, jak na nasze wolne i łaknące wciąż nowych tajemnic umysły...

Podążajmy więc za „Tupaniem ze sobą po drodze”, gdyż to wyjątkowa historia wrażliwości, historia naszego przecież losu, zaplątanego w codzienność oraz jasna wskazówka ku drodze wyzwolenia.

(Dokończenie na stronie 20)